



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Kolenda.

W żłobie leży, kto pobieży
Uczcić Boże pacholę?
Co ze świata w przyszłe lata
Wygna starą niedolę!

* * *

Tak anieli, w świeżej bieli,
Chór zawodzą wesoly,
A w parowie, pastuszkowie
Pasą kozy i woly.

* * *

W lot gromada, na twarz pada
Z ziemi zrywa się żwawo,
A tam z góry, z kłębu chmury
Gwiazda błyska jaskrawo.

* * *

Za nią w ślady, mkną na zwiady,
Kędy radość ich czeka,
Gwiazda złota, zwarte wrota
Ukazuje zdaleka.

* * *

Wchodzą śmiało, cóż się stało?
Spi na sianie Dziecinka,
A Maryja, jak lilija
Słodko patrzy na synka.

* * *

Hejże w tany, dmą w multany
Pastuszkowie weseli,
Wtórzą pieśni, ptacy leśni
I niebiescy anieli.

* * *

Chwała! chwała! pieśń rozbrzmiała,
Po dolinie szerokiej,
Aż z błękitu, brzask przedświtu
Zarumienił obłoki

* * *

Serca rosną, oh! radosno
Piosnka płynie a płynie,
Biedni mali, hołdowali
Pierwsi Bożej Dziecinie!

Seweryna Duchńska.

JĘDRZEJ ŚNIADECKI.

W roku bieżącym upływa lat sto od czasu gdy Jędrzej Śniadecki powołany został na profesora chemii w Akademii wileńskiej i rozpoczął swoje wykłady. Znano go już w uczonym świecie, nie tylko w kraju ale i za jego granicami, był w akademii w Pawii, słuchał wykładów tak znakomitych profesorów jak Volta, Galvani, Spallanzani, którzy pchnęli naukę na nowe tory, i o których wie każdy uczący się fizyki lub chemii. Ukończywszy akademię w Pawii odbył podróż naukową i parę lat spędził w Anglii a w Edynburgu, mieście będącym wówczas ogniskiem wiedzy, zawiązał stosunki z najznakomitszymi ludźmi. Wtedy to Kompania indyjska, bogate stowarzyszenie angielskie, ofiarowało mu w Indyach, nadzwyczaj korzystne miejsce, a sama chęć zwiedzenia tak ciekawych krajów, nęciła młodego uczonego; tęsknił on jednak do kraju i kiedy został wezwany na profesora w Wilnie, z radością wrócił do swoich.

Jędrzej Śniadecki urodzony w r. 1768, był bratem słynnego astronoma i filozofa Jana, który starszy o lat dwanaście wyrobił już sobie oddawna uznanie powszechne i odrzucił także świetne stanowiska w obcych krajach, powołany na dyrektora obserwatorium w Madrycie i Bononii, nie przyjął tych posad lecz objął w Wilnie katedrę astronomii.

Jędrzej był nie tylko znakomitym przyrodnikiem, był także lekarzem, przygotowałszy więc sobie po kilkunastoletnim nauczaniu zastępcę z pomiędzy swoich słuchaczy, porzucił wykład chemii a sam objął katedrę chorób wewnętrznych. Wykłady swoje prowadził już do śmierci, bo po zamknięciu uniwersytetu wileńskiego powstała akademія lekarska. Jako profesor zyskał sobie miłość i zaufanie słuchaczy, był dla nich prawdziwym ojcem, wzbodził w potrzeby, znał usposobienie, zdolności, starał się pokierować nimi odpowiednio i w każdym wypadku okazać się im pomocnym.

W uniwersytecie wileńskim było naówczas wielu niepolitych profesorów, Jędrzej przyrodnik poświęcał się głównie botanice, Grodek wykładał nauki matematyczne, Euzebiusz Słowacki, ojciec wielkiego poety, a po nim Borowski wymowę i poezję. Nie dziw więc, że przy takich profesorach uniwersytet zyskał sobie wielki rozgłos, garnęła się do niego młodzież a w mieście był ruch umysłowy. Jędrzej Śniadecki brał w nim wielki udział. Napisał i wydał „Chemię” według najnowszych odkryć, pierwsze dzieło w tym zakresie jakie posiadamy i którego używano długo jako podręcznika. Dziś chemia uczyniła olbrzymie postępy, ale chemia Śniadeckiego pozostanie nazawsze pomnikiem, jak wysoko stała u nas nauka na początku tego wieku.

Ważniejszem jeszcze jest dzieło Śniadeckiego „*Teorya jestestw organicznych*”, które przetłomaczone na obce języki, wzbudziło podziw uczonego świata. Tu wyłożył autor z rzadką jasnością cały przebieg życia zwierząt i roślin, a następnie przechodząc do człowieka opisał wszystkie przemiany jakie mają miejsce w jego organizmie.

Dzieło to za życia Śniadeckiego doczekało się dwóch wydań i zyskało mu niezmierną sławę. Rozumiejąc dobrze jak ważną rzeczą jest zdrowie i jak pielegnować je potrzeba; napisał on także praktyczną książkę: „O fizycznym wychowaniu dziecka”, która dawała wyborne wskazówki matkom.

Pomimo głębokiej wiedzy i pracy jako lekarz, Śniadecki nie ograniczał się wcale do zajęć swego zawodu, był towarzyski i chętnie pisał rzeczy nie mające nic wspólnego z nauką, a odznaczające się rzadkim dowcipem.

W r. 1817 kilku ludzi wesołego usposobienia, różnego stanu i wieku, w których istniał jeszcze staro-polski dowcip, zaczęło wydawać ulotne pisemko bez żadnych terminów i literackich pretensyi. Pisemko to nosiło tytuł: „Wiadomości

brukowe”, i tak się powszechnie podobało, że wkrótce zamienione zostało w wydawnictwo peryodyczne, któremu zachowano tytuł i humor, jaki je od początku ożywiał; redaktorowie zaś nadali sobie sami nazwę *Szubrawców*. Ale tej nazwy nie trzeba brać w brzydkim znaczeniu jakiego teraz nabrała, gdy nazywamy szubrawcem człowieka nieuczciwego. Bo wiem szubrawiec oznaczał początkowo jedynie człowieka lichu ubranego i tak też rozumieli ten wyraz wydawcy „Wiadomości brukowych”. Przyjęli oni tę nazwę ażeby przeciwdziałać cudzoziemczyźnie i wymysłom mody, tak u nas szkodliwym i karconym też przez wszystkich bez wyjątku naszych znakomitszych autorów. Ażeby lepiej zaznaczyć, że podtrzymywali wszystko co swojskie, szubrawcy przybrali sobie humorystyczne pseudonimy, brane po większej części z mitologii litewskiej.

Jędrzej Śniadecki pod pseudonimem Sotworos był dużą towarzystwa, któremu za godło służył gąsior wody, jako znak wstrzemięźliwości, bo szubrawcy byli przeciwnikami wszelkich zbytków i nadużyć, albo też łopata, na której według podania jeżdżą czarownice, a to z powodu, iż pisenko jakoby tym tajemniczym sposobem, wszędzie zaglądało. Sotworos dostarczał mu pełno artykułów odznaczających się niezmiernym dowcipem, wyśmiewał piniactwo, pretensye, życie nad stan.

Prawdziwie podziwiać trzeba człowieka, który przywalony mnóstwem poważnych obowiązków, znajdował czasem na i szlachetne rozrywki, a oddawał im się z gorliwością, bo pojmował doniosłość jaką żart mieć może, gdy celem jego wykorzeniania przywary społeczeństwa, które kochał całym, gorącym sercem. Słusznem jest przysłowie „Serce sercem się płaci”, miłość ta ocenioną została, gdy umarł w r. 1838 opłakiwano go powszechnie a kaznodzieja, słuszenie powiedział o nim w mowie pogrzebowej, że był prawdziwym człowiekiem, to jest obrazem Boga na ziemi bo łączył rozum z cnotą. Potomność, która najlepiej sędzi ludzi przeszłości, potwierdziła te piękne słowa stawiając mu pomnik w stulecie objęcia katedry uniwersyteckiej, otoczonej przez niego takim blaskiem.

Marya Łopuszańska.

W WIEJSKIEJ ZAGRODZIE.

(Dokończenie).

Dopiero Basia zaczęła opowiadać, jak chciano ją koniecznie rozdzielić z matką, ale ona tak prosiła, tak prosiła, że je zostawiono razem, i jechały na wozie, wraz z innemi brankami. Dalej już wszystko poszło bardzo prędko; wysłaniec Szpaka otrzymał do rąk umówiony okup, poczem wynajęto brykę krytą dla pan Halczyńskiej i Basi, obie bowiem bardzo były zmęczone i osłabione trudami niewoli i niepokojem, w jakim zostawały tak o los rodzinny jak i o swój własny. Dopiero gdy już siedziały na wygodnej bryce, którą otoczyli mężczyźni na koniach, i gdy już wyruszyły z miasteczka, Basia uwierzyła nareszcie, że są wolne i rzuciwszy się pani Halczyńskiej na szyję, głośno płakała. Potem zaczęły się opowiadania i wypytywania, którym koncom nie było. Pani Halczyńska dziękowała Bogu, dowiedziawszy się, że Janek ma się lepiej, i że się znajduje w Kordijowcach pod opieką łowczyzny.

— Moja matka prosi, żebyście obie wacpanie u nas ze chciały spocząć zanim wasz dwór zostanie po owym napadzie wyporzadzonym — ozwał się Andrzej.

— Wacpana matka jest znowu niewiastą, już dawno o tem wiedziałam — odrzekła pani Halczyńska ze wzrusze-

niem, podając rękę Andrzejowi — co zaś do waćpana, to nawet nie dziękuje, bo mi słów braknie na to.

Następnego dnia, kiedy znużone kobiety wypoczęły nieco, Basia odzyskała dawną swobodę i rozglądała się ciekawie po okolicy, którą przebywali, Andrzej zaś mówił jej nawzajem spotykanych miejscowości, opowiadając co wiedział o nich. Tym sposobem podróż odbywała się dość wesoło; Basię tylko smuciła myśl, że nie można było wykupić z niewoli choć kilku nieszczęśliwych jeńców.

— Szkoda, że mój tatuś nie jest bogatym, prosiłabym, żeby wszystkich tych nieszczęśliwych wykupił z rąk opryszków — mówiła do Andrzeja. — Teraz będę się modliła do Boga codziennie, żeby mię uczynił bogatą, bardzo bogatą, a wtedy ani jeden jeniec nie jęczałby w niewoli.

— Módl się raczej waćpanna by się znalazł ktoś tyle silny, coby tych rabusiów rozpędził a jeńców z ich rąk szablą uwolnił — odrzekł Andrzej. — Znam ja takiego, jest to pan Stefan Humiecki, wojewoda podolski; ten jest postrachem wszelkich hultajów. Oby go im Bóg zesłał jak najprędzej na karki!

— Słyszałem ja w Cekinowie, kiedy to nasz panicz z końmi zostawił, że pan Humiecki jakoby miał wyruszyć z Kamieńca w sprawie — ozwał się Semenکو.

— Sprawże Boże by to była prawda — rzekła pani Halczyńska, składając ręce.

— Szkoda tylko, że wcześniej nie wyruszył — dodała Basia — tymczasem Szpak sprzeda Tatarom swoich brańców...

— Waćpanna sądzisz, że jemu tak łatwo wyruszyć — ozwał się Andrzej. — Wszak on ową garść wojska, którą posiada, musi wciąż w różne rozsyłać strony, bo inaczej ziemie te zostałyby bez żadnej obrony; a tu ze wszech stron ślą do niego prośby o pomoc i ratunek przeciwko hultajom. Więc trzeba dobrze głową kręcić, by jako tako radzić w tych trudnościach.

— Jabym tylko chciała, żeby on jak najprędzej onych biednych jeńców wyswobodził — rzekła Basia.

— Gdyby tu była moja siostra Anka, zarazby wyraziła chęć dosiąść konia i gromić osobiście hultajów — rzekł Andrzej z uśmiechem.

— Cieszę się bardzo, że poznam waćpana siostry — ozwała się Basia. — Boję się tylko, czy one mię zechcą kochać! — dodała ciszej.

— Oto bądź waćpanna spokojną, pokochają cię, jestem tego pewny! — zawołał Andrzej z żywością.

— Jak to dobrze! Ja nigdy nie miałam siostry, to tak smutno! Wprawdzie z bratem bardzo się kochamy, ale zawsze zazdroścę tym co mają siostry.

— Zapewne waćpana wyglądają w domu z upragnieniem — rzekła pani Halczyńska — bo z tego co od mego Janka słyszałam wiem już, jakim dobrym jesteś bratem i synem...

— O tak, Janek nam dużo o waćpanu mówił — dodała Basia — on pana uwielbia.

— Nie wiem czem zasłużyłem na uwielbienie ze strony Janka — rzekł Andrzej, rumieniąc się — tak niedawno przecież poznaliśmy się...

— Dziwnym trafem jednak nie pomylił się w sądzie — odrzekła pani Halczyńska, patrząc na niego z uśmiechem pełnym dobroci.

Im bardziej się zbliżano do kresu podróży, tem większa wesołość opanowywała wszystkich; czwartego dnia wreszcie cały tabor stanął na wzgórzu z kąd już widać było jar, na dnie którego leżały Hordijowce.

Wtedy Andrzej wypuścił konie, aby być pierwszym w domu i donieść o przybyciu gości. Psy zaszczekały radośnie, skoro wjechał w bramę dworku, a wszyscy domowi wybiegli na ganek; Anka narobiła takiego krzyku, że nawet ludzie z folwarku zaczęli się zbiegać, nie wiedząc co się stało.

Andrzej zsiadł z konia, przypadł do kolan matki, która

ściskała go ze wzruszeniem, Anka zaś, po pierwszym powitaniu poczęła go wypytywać:

— Gdzie Basia, czyście ją przywieźli?

Z drugiej strony Janek z śmiertelnym niepokojem zapytował:

— Panie Andrzeju, gdzie mama, gdzie Basia?

— Są, są obie, za chwilę tu będą! — odrzekł Andrzej, ściskając Janka, który wyglądał jeszcze blado, ale był zdrow zupełnie.

Chłopak ze łzami radości rzucił się w objęcia swego przyjaciela.

Niedługo nadciągnęła i reszta podróżnych. Nie będziemy opisywali powitania Janka z matką i siostrą, gdyż niepodobna jest opisać takiej radości. Niemniej szczęśliwym był Andrzej, myśląc, że i on przyczynił się do tego szczęścia. Takie chwile, zbyt rzadkie, niestety! bywają najpiękniejsze w życiu, ale tylko szlachetne serca odczuć je mogą.

Anka, która nad niczem nie namyślała się długo, odrazu uściskała Basię jak siostrę, i klaszcząc w ręce, wołała:

— Ot, dopiero dobry dzień! Chyba zaczęła skakać z radości!

Łowczyni tymczasem witała panią Halczyńską, która dziękowała jej za serdeczną opiekę nad Jankiem. Wszyscy czuli się wzruszeni i szczęśliwi.

— Wiesz Basiu, że ja mam teraz aż trzy siostrzyczki? — rzekł Janek z uśmiechem, skoro znaleźli się w wielkiej jadalnej sali, gdzie Terenia krzątała się około stołu.

— I nam także przybył nowy brat i siostra — rzekła Anka, całując Basię i siadając przy niej.

— Ach, jak to dobrze — odrzekła Basia cicho — a ja bałam się... czy mię waćpanny zechcą kochać...

— Co znowu — zawołała Anka, przerywając jej — będziemy się tytułować waćpankami, jakby jakie matrony! Ty mnie mów Anko, ja tobie Basiu i rzecz skończona.

— Dobrze, Anko! — rzekła uradowana i ośmielona Basia — jaka ty dobra jesteś!

— Wielka mi dobroć! Ot, Jędrus, to dopiero dobry, powiadam ci, niema na świecie drugiego takiego brata, jak on! Ale cicho, bo on tu idzie...

Andrzej w istocie zbliżył się do dwóch rozmawiających dziewcząt, a Anka, mrugając figlarnie na Basię, rzekła:

— Wiesz Jędrusiu, co ja Basi rozповідаłam przed chwilą?

— Jakże mogę wiedzieć?

— A no, mówiłam, jaki to z ciebie tyran i żręda okrutny, i jak my biedne trusie drżemy przed tobą ze strachu.

— Wielce mi jest przykro, że sobie wyrobił tak złą sławę — rzekł Andrzej z uśmiechem. — Panno Barbaro, czy ja naprawdę na takiego tyrana wyglądam?

— Nie wierz waćpanu temu, ona zupełnie co innego mówiła — ozwała się Basia, nie zważając, że ją Anka ciągnie za rękaw.

— Może jeszcze co gorszego?

— Nie, owszem, chwaliła waćpana...

— A tak, miałabym też kogo chwalić — odparła Anka, udając nadąsaną, choć jej się oczy śmiały. — No, chwalcież wy się tutaj sobie, kiedy chcecie, a ja pójdę pomódz Tereni.

— Waćpana matka musi być bardzo dobrą — ozwała się Basia po chwili. — Kiedym ją dziś witała, zdawało mi się, że już ją znam oddawna. A jak piękną być musiała niedys!

— Ona i teraz piękna — odrzekł Andrzej. — Ale jakże rad jestem, że się waćpanna odrazu uczuła u nas jakby we własnym domu — dodał, patrząc na nią serdecznie.

— Czyż mogłoby być inaczej? Wszyscy dla mnie są tak dobrzy. Anka mię tak szczerze przygarnęła, że mi się naprawdę zdaje, iż mam siostrę...

— No, to dzięki Bogu — rzekł Andrzej uradowany. — Ta Anka, choć roztrzępana, jednakże nieraz uda jej się zrobić coś mądrego i dobrego.

— Bo ma dobre serce — rzekła Basia.

— Co to, to prawda — rzekł Andrzej, patrząc na nadchodzącą Ankę z uśmiechem — serca nie brak jej nigdy, ale zato z głową bywa różnie, nieprawdaż, moja siostrzo?

— Gniewam się na waćpana i wcale z nim nie gadam — odparła Anka, udając zagniewaną. — Basia z pewnością nie wierzy temu co powiedziałeś.

— Wcale a wcale nie wierzę — potwierdziła Basia.

— A co, czy nie mówiłam? — zawołała Anka z tryumfem.

Tymczasem Terenia zaprosiła wszystkich do wieczerzy. Przybył też pan Zuk i zaczął wypytывать Andrzeja o szczegóły

powrocie, Anka wybiegła naprzeciw niemu na ganek, wołając:

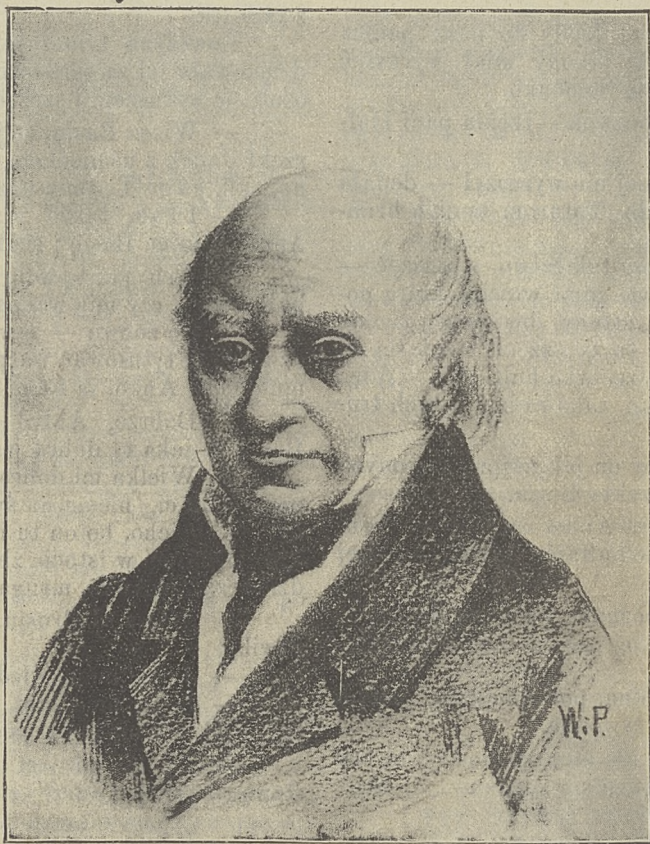
— Pani Halczyńska z Basią zostają u nas na cały miesiąc!

Andrzejowi twarz rozjaśniła się szczerą radością; objął i ucałował siostrę, mówiąc:

— Żebyś ty wiedziała Anko, jak ja się z tego cieszę!

— Cieszysz się? A no, to ja zaraz powiem o tem Basi!

I nie czekając na odpowiedź, wpadła jak bomba do pokoju, gdzie siedziała Basia.



Jędrzej Śniadecki.

podróży. Wśród gwaru rozmowy, łowczyzna mówiła z cicha do siedzącej przy niej pani Halczyńskiej:

— Waćpani zostaniesz u nas z córką na dłużej, zanim wasz dom wyporządkują...

— Nie wiem sama jeszcze... tam wszystko zostało...

— Więc mąż tymczasem pojedzie, by zrobić co można, a wy zostaniecie aby wypocząć nieco po trudach, któreście przebyły — rzekła łowczyzna, ściskając ją serdecznie. — Wszak obie musicie być śmiertelnie znużone.

— O, tak, chociaż w radości zapomina się o tem wszystkim — odrzekła pani Halczyńska, spoglądając rozradowana na męża i dzieci.

Nazajutrz pan Halczyński odjechał do Kozłówek, zostawiając żonę i córkę w Hordijowcach, na prośbę łowczyny. Gdy Andrzej w południe powrócił z pola, które objeżdżał po

— Wyobraź sobie Basiu, Jędrus tak się ucieszył, gdy mu powiedziałam, że zostajecie, że aż mię uściskał.

To mówiąc, porwała w swoje objęcia zarumienioną Basię i zaczęła się z nią kręcić po pokoju, jak szalona, pytając:

— No, mów prędko Basiu, może nie rada jesteś, może żałujesz, że zostajesz z nami.

— Ależ nie, wcale nie żałuję, owszem cieszę się bardzo — odrzekła Basia cicho.

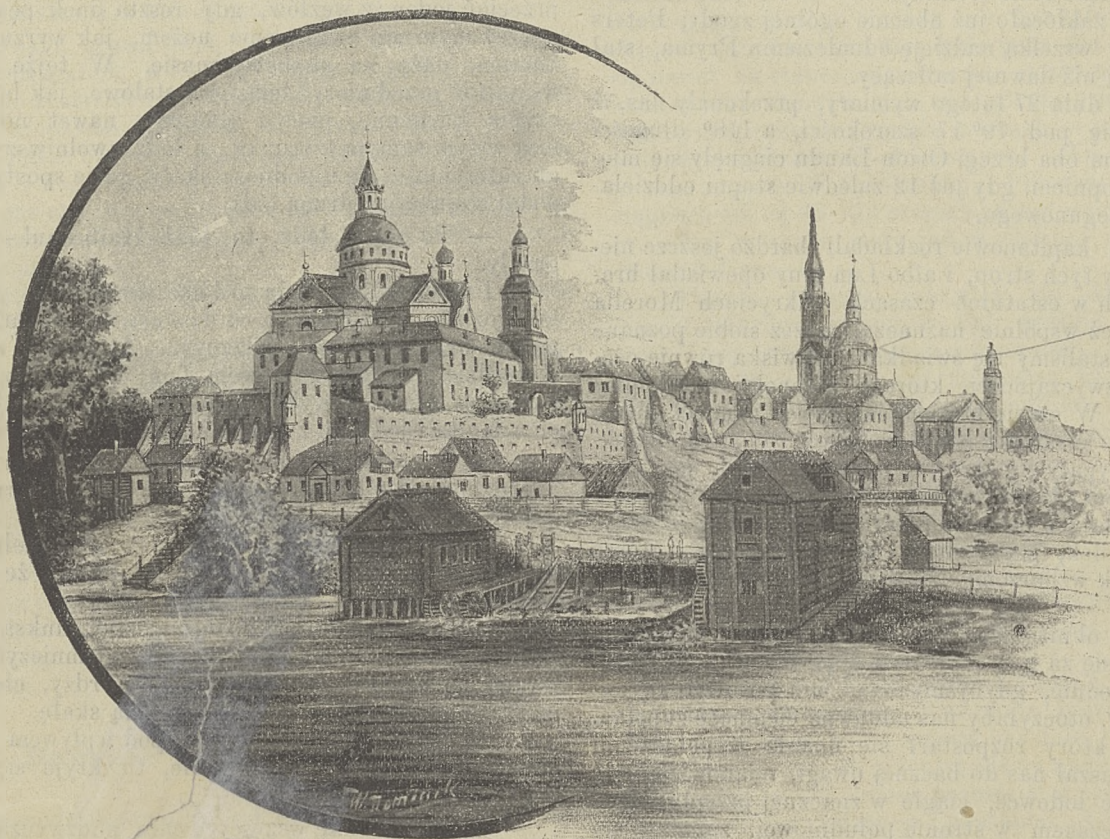
— To zupełnie jak Terenia; czy się cieszy czy smuci, nigdy nie można doprosić się od niej jednego wyrazu, taka jest skryta okropnie... Za to ja, gdy jestem czemu rada, to bym chciała cały świat uściskać; i Jędrus także taką samą ma naturę, chociaż czasem lubi bawić się w powagę starszego brata i powiada o mnie, że roztrzepana i różne tam inne rzeczy... Ale ja ci powiem pod sekretem, że niedawno, nie-

ma jeszcze roku, takie ze mną nieraz figle wyprawiał, że aż się ściany w domu trzęsły.

Dwór w Hordijowcach znów się ożywił, bo i Andrzej odzyskał teraz swoją dawną wesołość i Basia coraz więcej się ośmielała i nabierała wesołości w towarzystwie Anki, zwłaszcza, że Łowczyzna bardzo ją polubiła i obchodziła się z nią jakby z trzecią córką. Po upływie miesiąca, który dla wszystkich zbiegł bardzo prędko, jednego wieczora Andrzej całując matkę w rękę zapytał, czyby się nie zgodziła, żeby Basia w istocie została jej trzecią córką?

Łowczyzna przystała na to chętnie; a skoro wiadomość owa doszła Tereni i Anki, ta ostatnia zawołała:

jest przeważnie przez żydów zaludnione. Początek jego sięga XV w.; zniszczone przez Mongołów, Świdrygiełło, brat Władysława Jagiełły nadał je ulubionemu dworzaninowi swemu, przodkowi rodu Tyszkiewiczów. Nazwa miasta miała pochodzić od jednego z ich poddanych Berdysza, który pierwszy osiedlił się w owym dzikim ustroniu i wystawił w nim futor. Późniejszy dziedzic Berdyczowa, Janusz Tyszkiewicz, wojewoda kijowski, po powrocie z niewoli tatarskiej, spełniając jakoby wolę zmarłej matki, która ukazała mu się we śnie, zalecając, aby na tem miejscu zbudował „twierdzę przez żadne wieki nie zdobytą”, około roku 1626 ufundował klasztor Karmelitów z kościołem, którego obraz Boga-rodzicy niebawem cudami zasłynął i następnie darem samego pa-



Berdyczów.

— Wielka nowina! Ja już dawno o tem wiedziałam.

— Jakto, wiedziałas? — spytała Terenia ze zdziwieniem.

— No, tak, bo przecież niedarmo Andrzej uratował Basię z niewoli; musiała zostać naszą, ja już tak sobie odrazu postanowiłam.

W tym czasie do Hordijowiec doszła inna, pocieszająca wiadomość, a mianowicie, że pan Humiecki i pan Jan Gałeccki, regimentarj, rozbili nad Dniestrem, na przeprawie bandę Szpakową, która od tej pory przestała nękać te strony i tylko wspomnienie nienawistnego watażki po dziś dzień pozostało w nazwie drogi, po której wędrował z wziętymi do niewoli ludźmi.

BERDYCZÓW.

pieża Benedykta XV-go dwiema złotemi, wysadzaniem szmaragdami koronami został ozdobiony. Koronacja obrazu odbyła się z wielką uroczystością. Zabudowania klasztorne, opasane murem i opatrzone w działa, stały się silną jak na owe czasy twierdzą, odpierającą się skutecznie napaści hajdamaków. W murach tej warowni bronił się w czasie konfederacji Barskiej Kazimierz Pułaski, a z ambony kościelnej Karmelita ksiądz Marek nawoływał do pokuty i groził karą za grzechy. W epoce wojen Napoleońskich r. 1812, 13 i 14, dla kupców berdyczowskich prowadzących handel hurtowny i detaliczny, nastały czasy najświetniejszych zysków; ściągali też do tego miasta ludzie różnej nardowości zwłaszcza żydzi, dorabiający się wprędce milionowych majątków, tak, iż wiele firm kupieckich i bankierskich, zajmujących pierwszorzędną stanowiska w stolicach europejskich obecnie, początek swój miały w Berdyczowie.

Berdyczów miasto na Wołyniu, niegdyś słynące handlem od roku 1846 zaliczone do guberni kijowskiej, dziś

SFINKS LODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dokończenie).

Umieszczony na Parakucie dość duży stosunkowo maszt z żaglami i trzy pary wioseł, przyspieszały naszą żeglugę, tak, iż przez pierwszy tydzień robiliśmy około 30 mil na dąbę, trzymając się jeszcze stale cieśniny.

Nic też nie zakłócało już obecnie ogólnej zgody; Peters tylko, straciwszy wszelką nadzieję odnalezienia Pryma, stał się jeszcze więcej niż dawniej milczący.

Poczynione dnia 27 lutego wymiary, przekonały nas, iż znajdowaliśmy się pod 79° 17' szerokości, a 118° długości wschodniej; zatem oba brzegi Orion-Landu ciągnęły się między 118 a 119 stopniem, gdy już 12 zaledwie stopni oddzielało nas od koła biegunowego.

Często obaj kapitanowie rozkładali bardzo jeszcze niedostateczne karty tych stron, i albo Len Guy opowiadał bratu o poczynionych w ostatnich czasach odkryciach Morella i Kempa, albo też wspólnie naznaczali przez siebie poznane lądy. Aż nagle staliśmy się świadkami zjawiska równie osobliwego, jak nadzwyczajności, któremi przepełnione są opisy Artura Pryma. W czasie bowiem śniegowej zamieci, ujrzelśmy około siebie światelka iskier elektrycznych, które z lekkim trzaskiem, sypały się zarówno z łodzi i wioseł, jak z każdej części ubrania i ciała naszego przy najmniejszym ruchu. Same nawet spadające szerokie płyty śniegu, zacinając ostro, niby ułtucia igiełek, promieniały jak gwiazdeczki. Morze przy tem było tak wzburzone, iż groziło nam kilka razy zalanie fali.

Stopniowo obniżające się słońce, zaledwie już trochę tylko wychylało się za horyzont, rzucając blade ukośne promienie, i niezawodnie, gdybyśmy sami nie posuwali się naprzód ku północy, otoczyłaby nas oddawna ciemność zupełna. Mrok wszakże, który rozpostarł się dokoła w połączeniu z gęstą mgłą zmuszał nas do bacznej uwagi, mianowicie, gdy wypadało omijać lodowce, ciągle w znacznej przepływającej liczbie; gdy tymczasem w stronie południowej, zapalała się często na niebie szeroka łuna zorzy polarnej, a temperatura opadając stopniowo zeszła do 5° poniżej zera.

Mimo trudności dla braku światła słonecznego, upatrzawszy chwilę wolniejszą od mgły, Len Guy obliczył znów 12-go marca, iż znajdowaliśmy się na 75° 17' szerokości i 118° długości wschodniej. Zaledwie więc 400 mil dzieliło nas od zapory. Tymczasem cieśnina zwężona znacznie przy 77-yim równoleżniku, poczęła się znowu coraz więcej rozszerzać, przyczem siła prądu osłabła, budząc w nas obawę, byśmy go całkiem nie stracili, wobec nieprzyjemnej okoliczności, że i wiatr ucichł zupełnie.

Lecz niebawem zwróciła naszą uwagę rzecz wprost zadziwiająca, bo oto Parakuta poczęła nagle biedz ze zdwojoną siłą, wyprzedzając nawet szybkość prądu. Próżno przez kilka godzin szukaliśmy wytłomaczenia tego zjawiska, aż gdy nazajutrz około południa mgła opadła nieco, ujrzelśmy w stronie zachodniej w odległości zaledwie półmilojowej, jakąś bryłę olbrzymią, przypominającą swym kształtem owe tajemnicze postacie sfinksońskie, z torsem na wpół wzniesionym z łapami wyciągniętymi naprzód; postacie zagadkowe, które mitologia grecka stawiała na drodze do Teb.

Byłoby to zwierzę żywe?... Potwór olbrzymi tysiąc razy większy od owych przedpotopowych mastedonów, których odkopywane szczątki zadziwiają dzisiejszą ludzkość... W obecnem usposobieniu naszych umysłów, nie dalecy byliśmy od uwierzenia, że potwór ów żywy, rzuci się na łódź na-

sza, by ją zmiążdżyć swemi pazurami. Po pierwszej wszakże chwili niepokoju, zarówno mało rozumnego, jak rozumowanego, poznaliśmy, iż bryła ta, której wierzchołek wynurzał się teraz z mglistej zasłony, była tylko odłamem skały o kształcie osobliwym.

Zaledwie ochłonęliśmy z przykrego wrażenia, aż nowe wypadki wywołały nowe przerażenie, bo gdy łódź z coraz większą siłą zmierzała do lądu, żelazny hak pozostały nam z Halbranu, a umocowany przez porucznika u jej przodu, wyprężając coraz więcej trzymające go linki, odskoczył od niej, jakby ciągniony siłą niewidzialną. Zdawało się, iż hak ten holuje nas cudownie ku skale.

— Co to jest, co to znaczy?... — zawołał Wiliam Guy.

— Przetnij bosmanie linki, przetnij je prędko — krzyknął Jem West, inaczej grozi nam rozbicie!

Hurliguerly spieszy wypełnić rozkaz, lecz zaledwie zdążył przeciąć jeden z węzłów, gdy reszta linek pęka i hak wraz z wyrwanym mu gwałtownie nożem, jak wyrzucony z procy kamień, dąży ku skalistej masie. W tejsze samej chwili wszystkie przedmioty żelazne i stalowe, jak broń nasza, naczynia kuchenne, piecyk Endirota nawet noże z kieszeni, lecą w tym samym kierunku, a łódź zwolnwszy nieco w biegu zatrzymuje się u podnóża skały, gdzie spostrzegamy nieopodal stojącą już drugą łódź.

— To nasza łódź, to łódź Halbranu! — woła Hurliguerly.

I rzeczywiście była to łódź skradziona przez Hearnę, lecz rozbita, połamana, a co dziwniejsze, że brak w niej zupełnie było jej części żelaznych. Zaledwie zdolałiśmy to stwierdzić, gdy idąc za głosem Jem Westa, ujrzelśmy z przerażeniem leżące na wybrzeżu martwe już ciała Hearnę, Marcina Holta i jednego z Falklandczyków.

— Prawdopodobnie — zauważył Wiliam Guy — łódź ich rozbili się o lodowice, i gdy inni potnęli zaraz, tych wyrzuciła tu fala.

— Jakże sobie jednak wytłumaczyć zupełny brak u łodzi wszelkiego żelaza, tak, iż nie mogłoby się, że je ktoś z rozmysłem pousuwał — ciągnął Jem West.

Gdy rozglądał się dokoła, postać sfinksa i w tem przybliżeniu nie straciła nic ze swych tajemniczych kształtów; uwagę naszą wszakże zwróciła ona pleśń rdzy, charakteryzująca stare metale, która pokrywała całą skałę.

— Magnes! — zawołałem, pod wpływem nagle budzącej się myśli — tak niezawodnie, że kryje się magnes siły nadzwyczajnej!...

Zrozumieli mię wszyscy, i cała nadzwyczajność wypadku stała się odrazu jasną. Kolos ten, niby zbiornik siły magnesowej, działał na żelazo, jak to sam stwierdziliśmy, z odległości znacznej. Porwana ta „parakuta” łódź uciekających, w której budowie oczywiście znajdowało się dużo części tego metalu, biegła z nadzwyczajnym pędem, by rozbić się o brzegi skały, przyczem pozbawioną została swych okuć, tak jak my wszelkich przedmiotów żelaznych. I niezawodnie Parakuta, byłaby również strzaskana, gdyby nie ta szczęśliwa okoliczność, iż krajowcy nie znając wyrobku z żelaza, jedynie tylko drzewa używali do niej.

Czy wszakże skała ta jest biegunem magnetycznym, leżącym bezwątpienia w tych stronach, nie mogliśmy stanowczo orzec. W każdym razie, jest jedną z tych gór, znanych jeszcze w dawnych czasach, o których krążyły wieści, później odrzucone, że przyciągając żelazo, stają się zagrożeniem dla okrętów, przepływających w pobliżu. I oto przekonaliśmy się sami, iż wieści te nie były bajeczne.

Niewątpliwie wielka ilość elektryczności krążąca tu w atmosferze, obudziła w tej olbrzymiej bryle słabego żelaza, uśpioną w nim siłę magnesową, w stosunku do jej rozmiarów.

— Czy sądzisz pan, iż i dla nas polity na tej skale przedstawia jakie niebezpieczeństwo? — zapytał Len Guy.

— Nie zdaje mi się — odparłem — nie działa tu bowiem elektryczność, lecz magnes, który niema żadnego wpływu na ciało ludzkie.

— Tam, ach tam — zawołał nagle Dick Peters, z oczami szeroko rozwartymi, dążąc spiesźnie ku wyżynom kolosu. Poszliśmy za nim, po wulkanicznej czarnemi bryłami lawy i kamieni zarzuconej powierzchni. U stóp potwora leżały wszystkie przedmioty żelazne, które straciliśmy przed chwilą, obok należących do łodzi Halbranu. Nie było wszakże możliwości przemódz siłę, która je do siebie przyciągnęła.

— A ty sfinksie... przebrzydły złodzieju!.. — zawołał Hurliguerly, wyęzając się próżno w odebraniu swego noża.

Tymczasem Jem West przypominał, iż należy wrócić do łodzi, każda bowiem chwila opóźnienia u zapory, stanowi nieledwie o naszym życiu. Już odpowiedni rozkaz został wydany, gdy nagle stłumiouy jęk zatrzymał nas jeszcze. Pospieszyliśmy w stronę, z której nas dochodził.

Okrażywszy prawą łapę potwora, ujrzałem Petersa kłęczącego nad ciałem, a raczej szkieletem pokrytym skórą, którego zimno tych stron uchroniło od rozkładu, zostawiając mu pozory niedawno zmarłego człowieka. Leżał z głową pochyloną, biała broda spadała mu za pas, a długość paznoci w ręk i nóg czyniła je raczej do szponów podobnemi. Rzemienny pas strzelby przerzucony przez ramię, trzymał się w całości, mocno zaś do skały przyciągniętą jej lufę, rda do połowy już zjadła.

— Prym, mój biedny Prym! — jęknął Peters głosem rozdzielającym.

Naraz zadrzały pod nim kolana, łkanie przeszło w jedno głośne westchnienie, i metys padł na wznak bez życia. Boleść zabiła to serce oddane tak niepodzielnie jednemu swemu przyjacielowi, który widocznie przed jedenastu laty dopłynął aż tutaj w swej łodzi, i gdy siła magnesu działając na stal jego broni, ściągnęła go ku sobie, on nie rozumiejąc zapewne, co się z nim dzieje, przytwierdzony został do twardej bryły potwora...

I dziwnem zrządzeniem losu, ciała tych dwóch ludzi, których niezwykle koleje życia znalazły w autorze amerykańskim również niezwyklego piewce, spoczęły teraz na wieki po długiej rozłące, jedno obok drugiego, na tajemniczej ziemi antarktycznej.

Dwunastu z siedemdziesięciu.

Po niespodziewanym, a bolesnym dla nas zgonie Petersa, pozostało nas tylko dwunastu na Parakucie, z załogi dwóch żaglowców, z których pierwszy liczył trzydziestu ośmiu, drugi trzydziestu dwóch ludzi — razem siedemdziesięciu!...

W kilka dni po opuszczeniu ziemi Sfinks, zgasło dla nas zupełnie światło słoneczne, lecz choć znużeni ciemnością nocy podbiegunowej, choć wiele więcej musieliśmy dołożyć trudu i pracy, mianowicie w omijaniu ciągle licznych jeszcze lodowców, posuwaliśmy się wszakże dość szczęśliwie ku północy.

Wprawdzie coraz częściej świetne blaski zorzy polarnej jaśniały na niebie, cudowne w swych barwach mieniących się od czerwieni pożaru do zielonkawo-żółtych tonów. Czyż jednak mimo swej piękności mogły one nam zastąpić niezrównane z niczem światło dzienne? W tej nieustającej więc nocy dziwna tęsknota i smutek opanowały umysły nasze, jeden tylko dzielny Hurliguerly nie poddawał się temu, budząc w nas wszystkich otuchę swą niezachwianą ufnością, że wszystko dobrze zakończy się musi.

Wreszcie 21 go marca straciliśmy z oczu prawie wybrzeże Halbran-Landu, które ciągnęło się aż dotąd, świadcząc o obszarze tego lądu antarktycznego. Dla braku wszakże światła nie można już było dokładnie określić położenia — tylko w przybliżeniu obliczając, sądziliśmy, iż zaporą lodową nie musiała być daleko, podczas gdy igła magnesowa wskazywała, że nie zbaczamy z obranego kierunku.

Tymczasem temperatura opadała ciągle i wielkie już zimno dawało się nam uczuć boleśnie mimo cieplej odzieży. Nieraz też musieliśmy łamać ściegą lodem powierzchnię

wodną, lub znów walczyć ze wzburzoną falą, która nas zalewała. Jedynie tylko głód nie dokuczał, a wody słodkiej dostarczały lodowce. Aż 2 kwietnia ujrzelśmy przed sobą nieprzerwane pasmo gór tworzących zapórę. Czy trafimy na wolne przejście, czy znajdziemy po drugiej stronie jaki ratujący nas okręt, czy wrócimy jeszcze do świata? — pytałem się w najwyższym niepokoju.

Lecz Opatrzność czuwała nad nami!.. Po bajecznych trudach i niebezpieczeństwach, walcząc ostatkiem sił, znaleźliśmy się wreszcie na południowej przestrzeni oceanu Spokojnego. W jakimże jednak stanie była biedna łódź nasza, ta krucha poszczerbiona łupinka, przez której szpary przesiąkającą wodę musieliśmy stale wylewać! A tymczasem gdy jeszcze parę set mil dzieliło nas od najbliższego lądu, na bezmiernej przestrzeni wodnej nie dojrzało oko ani jednego okrętu. Zbyt to już późna była pora dla rybaków. Cofnęły się nawet na stanowiska zimowe, statki należące do wypraw naukowych, których jak się później dowiedziałem, było dwie tym w roku i na tychże morzach, a mianowicie Wilkesa, pułkownika Stanów Zjednoczonych, i Dumont d'Urville, kapitana marynarki francuskiej. Pierwszy odkrył wybrzeża ciągnące się od 60—70 stopnia, drugi wyspy Adelajdy i Klary; — obaj wszakże stali już w obecnej chwili u przylądka Hobard-Town.

Czarna rozpacz zakradła się do serc naszych... Nawet Hurliguerly gotów był zwątpić w ostateczne ocalenie, gdy naraz najniespodziewaniej ujrzelśmy w odległości około czterech mil żaglowiec większych rozmiarów. Na spiesźnie dane znaki otrzymaliśmy odpowiedź. Okręt wstrzymany został na miejscu, a wielka łódź jego pospieszyła na nasz ratunek.

Był to „Tasman”, amerykański trzymasztowiec Charlestonea, na którym znaleźliśmy gościnne, serdeczne przyjęcie, i po kilkunastodniowej jeszcze podróży, przybyliśmy szczęśliwie do Melbourne, w prowincyi Wiktorya, Nowej Holandyi, gdzie odpoczelśmy, po trudach i niebezpieczeństwach, gdzie też tyń, którzy przeżyli obie wyprawy, wypłaconą została obiecana przezemnie nagroda.

Tak skończyła się nadzwyczajna i pełna przygód podróż nasza, która niestety aż nadto kosztowała ofiar. A jednak mimo, że wypadki rzuciły nas dalej, niż to było naszym zamiarem, mimo, że przepłynęliśmy nawet w pobliżu bieguna południowego, ileż jeszcze pozostaje w tych stronach rzeczy wielkiej wagi do odkrycia i poznania! Ale bo też wątpię, aby kiedykolwiek groźny Sfinks lodowy zechciał powierzyć ludziom wszystkie swe tajemnice.

NOWE KSIĄŻKI.

Z dalszych wydawnictw gwiazdkowych:

Nakładem księgarni p. Rządewskiej wyszły:

Teresy Jadwigi, Burza, karta z dziejów oblężenia Lwowa przez kozaków w 1648 roku.

Tejżę, Dwaj mistrze, szczegóły z lat młodych Chopina i Moniuszki, według wiarogodnych źródeł opracowane.

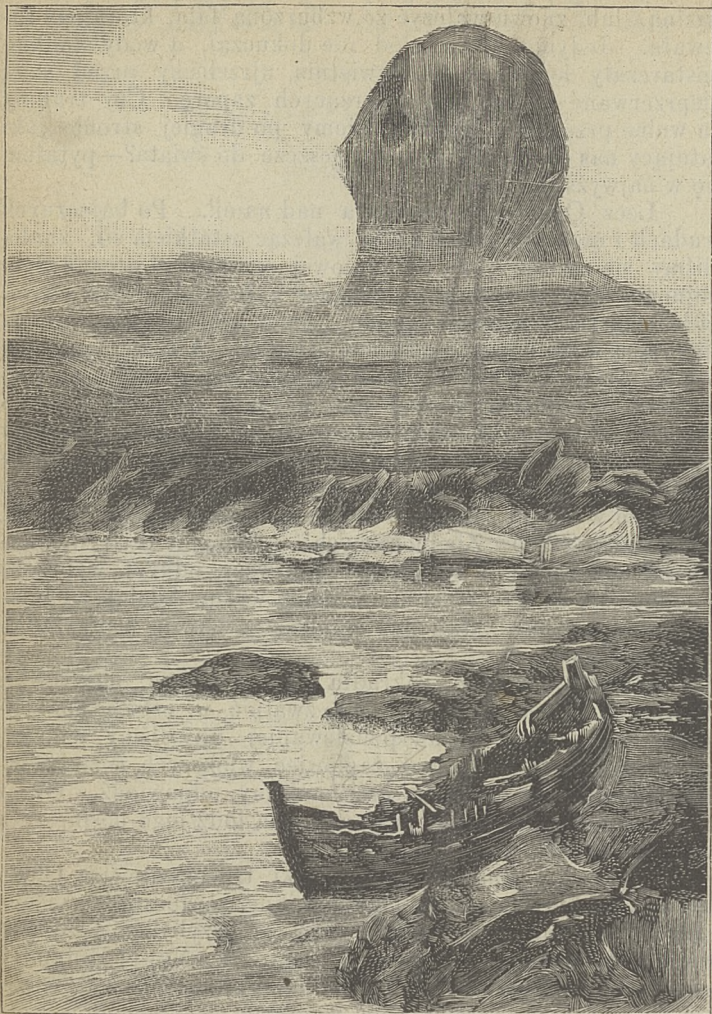
Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego w Petersburgu:

W zaklętem królestwie p. M. Weryho i S. Gębarskiego, zajmujące opowiadania dla małych dzieci, na tle przyrodniczym osnute, w formie listów młodego chłopczyka, ze wsi, do przyjaciół w mieście zamieszkałych.

Teresy Jadwigi, Przed świtem, opowiadanie z mitycznych dziejów Słowian, z pięknymi ilustracyami Kotarbińskiego.

Tejżę, z podobnemi ilustracyami: *Wielki król*, powieść dla młodzieży z czasów Bolesława Chrobrego.

Walerego Przyborowskiego z ilustracyami Pankiewicza: *Bitwa pod Raszynem*, ciekawe przygody młodego chłopca, któ-



Sfinks lodowy.

ry sprawia się bohatersko, zostawszy w końcu mimowolnym uczestnikiem słynnej bitwy pod Raszynem stoczonej w 1808 roku, przez wojska Księstwa Warszawskiego pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego z austriackim arcyksięciem Ferdynandem D'Este.

Nakładem Maurycego Orgelbranda:

Plon, powieść dla młodzieży *Jadwigi Chrzęszczewskiej*, której pierwszorzędnym talent, czyni każdą pracę wielce poszukiwaną. Utwory p. Chrzęszczewskiej łączą zwykle do pełnego wdzięku podniosłego stylu, szlachetną i piękną myśl przewodnią. **Plon** mieści w treści swojej jedno i drugie. Miłość do rodzinnej gleby i miłość bratnia, jest tu nicią, około której snują się wypadki, wytwarzając plon bogaty, zachęcający do siejby tych, co by się o zbiór podobny postarać chcieli. Piękną tę powieść nie tylko młodzież lecz starsi z przyjemnością czytać mogą.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Kolenda, wiersz przez Sewerynę Duchinią (z ryc.) — Jędrzej Śniadecki (z portretem). — W wiejskiej zagrodzie przez Maryę Łopuszańską. — Berdyczów (z ryc.) — Sfinks lodowy, Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Dodatek: Wigilia wiersz (z ryc.) Dary anioła. — Spełnione przyrzeczenie. — Rozwiązania łamigłówek. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Jara i Anulka czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D. Spis rzeczy na rok 1897.

Nakładem księgarni Konstantego Trepte:

Wesołe bajki, śliczna i pojętna książka dla małych dzieci z dużymi kolorowanymi obrazkami, objaśniającymi treść owych bajek.

A. B. C. Tęczowe z 90 kolorowanymi ilustracyami obznajmiałymi dziećmi z różnorodnymi przedmiotami a zarazem z alfabetem, którego nauka staje się w ten sposób zabawą. W końcu mieszczą się tu modlitewki i piosenki wierszem i prozą Or-ota.

Nakładem autora *M. Brzezińskiego* **Moje wakacje na wsi** z opowiadań Janka. Treść stanowi tu opis wakacji dwóch młodych przyjaciół równie jak okolic w których się znajdują, a treść to zajmująca, bo mieści żywo skreślone opisy wiejskich zajęć letnich, wypraw myśliwskich obu chłopców, spostrzeżeń ich botanicznych, obserwacji nad fauną miejscową i t. p. ilustracje z widokami zwiedzanych miejscowości, ptaków, owadów i roślin krajowych, równie jak przegód doznanych, dopełniają całości tej książki.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała:

Zuzanny Morawskiej, **Jerzy Jaszczur Bażeński** opowiadanie z XV wieku, wydanie drugie z rycinami. Powieść ta jak zwykle utwory p. M. łączy charakter czasu, zarówno pod względem obyczajów jak stylu, obok wielce zaciekawiającej treści.

Przygody Jana Chryzostoma Paska, według jego pamiętników, opowiadanie dla młodzieży przez *Jerzego Łaskarysa*. Wydanie powtórne, tych wspomnień żołnierza, z czasów Jana Kazimierza, pełne wesołych anegdot i opisów zajmie żywo młodych czytelników.

Nowe Latko śliczny zbiór poezji *Maryi Konopnickiej*, do których rysunków dostarczył *Piotr Stuchiewicz*, pięknie i ozdobnie wydana książka, która służyć może za nader pożądanego podarek kolendowy, zarówno dla starszych jak dla młodszych dzieci.

Dzieci Warszawy, opowiadanie *Zofii Bukowieckiej*, której powieści i powiastki budzą wielkie zajęcie czytelników. Autorka obznajmia ich tutaj w sposób zaciekawiający z historią Warszawy, to jest początków i dalszych kolei miasta, oraz gmachów jego i historycznych pamiątek.

Księgarnia Gebethnera i Wolffa wydała nadto dla starszych, z dalszej seryi biblioteczki ilustrowanej:

Zbiór poezji Czesława Jankowskiego.

Maryana Gawalewicz, Motyl, Filemon i Gaweł, Filiżanka, Prolog.

Księgarnia Bukowieckiego wydała po nabytym niskiej cenie niektóre utwory Mickiewicza, gdyż w wydawnictwie, Pan Tadeusz kosztuje kop. 20, Dziady kop. 10, Ballady i romanse kop. 7, Konrad Wallenrod kop. 6, Grażyna kop. 4, Farys kop. 2, Sonety krymskie kop. 2, Bajki kop. 2, Powiastki kop. 2.

WIECZORY RODZINNE

Wigilia.

Idzie wigilia gwiazdką po niebie,
Srebrną kolendą po śnieżnej glebie,
Idzie i szuka, gdzie grzeczne dzieci,
Tam zaraz gwiazdką w okienko świeci —
Świeci w okienko — wieść cudną głosi,
Że się Pan Jezus w gościnę prosi!
W czystych duszyczkach, w dobrych serduszkach
Chce spocząć, jakby w żłóbka pieluszkach
Otwórzcie dzieci serduszek wrota,
Gdy wam ta gwiazdka zabłyśnie złota —
Złóżcie rączką, myślcie o Bogu,
Jakbyście stały w stajenki progu,
Jakbyście byli w pastuszków rzedzie,
Co szli Jezusa uczcić w kolendzie.
Kłękajcie kornie, jak w Betlejemie:
Za matkę, ojca, całą rodzinę,
Za dobrych ludzi, za matkę ziemię
Z ufnością prosicie Bożą Dziecinę!

Z. M.

DARY ANIOŁA

W starej chatce pod lasem, gdzie mieszkali Boguś i Bożenka ze stuletnią babunią, dziwnie było ponuro i cicho. Jesień w tym roku była długa a słotna, deszcze lały takimi strumieniami, że cała okolica zamieniła się niby w bagno olbrzymie, którego ni człowiek ni zwierzę przebyć nie mogło; wicher tylko przebiegał błotniste drogi, łamiąc i druzgocąc wszystko, co mu stawiało najmniejszy opór i przeskadzało hulać swobodnie. — Ja tu pan! ja król! wołał przeginając wierzchołki najstarszych drzew, i leciał dalej, gwizdząc tak głośno, że go aż w niebie słychać było.

Chmury, przyjaciółki wichru, kłębiły się nisko ponad ziemią, chwytając w przelocie każdy najmniejszy promyczek słońca, który biegł do biednych ludzi, ażeby ich ogrzać i rozweselić.

— Teraz nasze panowanie! szumiały groźnie — wyście dosyć przez całe lato narozwijaly kwiatów, nazłociły kłosów zboża i nawypijały kropel rosy — teraz my chcemy rządzić.

Smutno i szaro było po dniach całych w małej chatce, przez której okienko tylko chmury i wicher zaglądały do izby — dzieci zapomniały śmiać się szczebiotać, bo dzieci jak ptaszki, potrzebują koniecznie trochę słońca, żeby im wesoło było, naświecieć; stara babunia przędąc na kołowrotku nie śpiewała już, bo jej usta drżały od

chłodnych podmuchów wichru wkradającego się przez szpary.

Zapasy żywności, które Boguś przynosił z miasta wyczerpały się, a o sprowadzeniu nowych ani myśleć nie można było, choć babunia już dużo motków lnu naprędkła ale gdzie tu po takich roztopach wybierać się taki kawał drogi do miasta, aby len wymienić na mąkę, kaszę, sól i inne zapasy — prędzej możnaby zginąć marnie niż dojść szczęśliwie. — Czekali zatem z upragnieniem, aby słońce lub mróz osuszył drogę, a tymczasem gotowali coraz skąpiej, dzielili jadło na coraz mniejsze odrobiny, żeby im na dłużej starczyło.

Aż pewnej nocy stało się wielkie nieszczęście, deszcz zalał komin i zagasił węgle, które Bożenka spać przykryła popiołem, aby z nich jutro nową ogień rozniecić. Zapałki już dawno nie było w chatce.



nej, i dzieci zbudziwszy się spostrzegły z rozpaczą, że nie mają czem rozpalić ognia, aby babuni zagrzać mleka na śniadanie.

Próbowały wszelkich sposobów, godzinami tarły kawałki drzewa jeden o drugi, stalowym nożykiem przesłały iskry z kawałka kamienia — nic nie pomagało — ogień nie chwytął się mokrych, przyniesionych z lasu gałęzi, iskry gasły i z niemi gasła nadzieja w dzieciennych serduszkach.

Teraz dopiero nastały dni chłodu i głodu, wlokące się powoli godzina za godziną, i jeszcze dłuższe, cięższe do przebycia noce, których nie mogli skrócić żadnem zajęciem, ani rozjaśnić najmniejszym promykiem światła. A były to noce grudniowe, najdłuższe w roku, dzieci nie były w stanie przespać tyle godzin, więc gdy mrok zapadał zasiadały obok siebie, u kolan babki, i tuląc się do niej, usiłowały własnem ciepłem rozgrzać jej skostniałe nogi i ręce. Czasem babka, chcąc im skrócić te długie, smutne godziny, zaczynała opowiadać bajkę jaką, starając się o świat, bo zasłyszana jeszcze we własnem dzieciństwie. Boguś i Bożenka natężali wtedy uwagę i słuch, bo głos staruszki cichy był i niewyraźny jak brzęczenie mdlejącego komarka, a jednak słowa jej budziły w serduszkach dzieciennych jakieś uczucie, wielkiej trwogi lub wielkiego szczęścia, takie tam straszne i cudne rzeczy działy się w tych bajkach, że słysząc o nich, aż się o własnej nędzy zapomnieli.

Niestety, babunia staruszka, nie mogła opowiadać długo; wkrótce głos jej urywał się, powieki opadały na senne oczy i nie wiedząc sama kiedy zasypiała, a dzieci, zamiast jej słodkiego głosu słyszały niekiedy nawet dalekie wycia wilków po lesie. Straszny ich w chwilach takich ogarniał smutek i lęk, aż Bożenka wśród ciemności szukała dłoni Bogusia, pytając: Bogusiu, jesteś tu?

— Jestem — odpowiadał Boguś i ścisnął mocno rękę siostrzyczki, ażeby jej dodać odwagi.

Pewnego wieczora, gdy siedzieli tak w ciszy i ciemności, Bożenka szepnęła: To jutro 24 grudnia, czy myślisz Bogusiu, że dobry anioł z gwiazdką będzie mógł przyjść do nas po takiej strasznej drodze?

— Nie wiem — możeby mógł, ale czy zechce dla nas dwojga tylko przyjść, powiadają, że on tylko najlepsze dzieci obdarza, a myśmy nie zawsze byli dobrzy. Pamiętasz, jak raz swawoliliśmy po lesie, zamiast zbierać suche gałęzie, na które babcia czekała, i sprzecaliśmy się także czasem.

— Prawda, ale choć nie zawsze byliśmy dobrzy, to za to teraz tacy jesteśmy biedni: może się ulituje nad nami i przyniesie nam jaki ładny podarunek, ja go będę gorąco prosiła.

Istotnie, doszedłszy do swego łóżeczka, Bożenka uklękła na niem i długo modliła się do Anioła gwiazdki — opowiadała mu, jacy oni biedni, głodni i zziębnięci, jak to strasznie smutno siedzieć tyle długich godzin po ciemku, słuchać tylko szumu wichru za oknami i wycia wilków. Anioł co przebywa zawsze w jasnem niebie, nawet nie wie, jak to jest okropnie. A co się stanie, gdy zjedzą już ostatni kawałeczek chleba, i nie będą mogli upiec sobie nowego, bo im brak ognia i maki i soli i wszystkiego. Anioł poszedłby po to wszystko do miasta, ale nie może,

boby utonął w drodze. Więc chyba już umrą z głodu, albo im anioł pierników przyniesie, żeby ich od śmierci ocalić.

Pomodliwszy się tak, Bożenka zasnęła spokojnie ufna, że modły jej będą wysłuchane i anioł znajdzie sposób dojścia do chatki, nawet po takiej drodze, której Boguś w żaden sposób przebyć nie mógł.

Spała dość długo, wtem obudził ją lekki szmer w izbie; zerwała się na łóżeczku, otwierając szeroko oczy i nagle znowu przypadła twarzą do poduszki, taki ją ogarnął lęk dziwny jakiś, choć nie przykry wcale, od którego jednak serce jej uderzyło głośnie, jak dzwon kościelny w czasie Rezurekcyi. Przez zmrużone powieki widziała dokładnie, że na środku izby stał aniołek, który miał na ręku koszyczek pełen nie pierników i zabawek, ale samych klejnotów najdroższych, brylantów, szmaragdów i rubinów, które nanizane na cieniutkie niteczki złota, aż oczy ćmiły swoim blaskiem.

Anioł nabrał dwie garście pełne tych klejnotów i szedł z niemi do łóżeczka Bożenki, a ona twarz zakryła rączkami, bo nie śmiała spojrzeć na niego z bliska czuła tylko, że się uśmiechał do niej tkliwie i, że od tego uśmiechu robiło się w izbie jeszcze jaśniej niż od blasku klejnotów.

Gdy odważyła się napowrót otworzyć oczy, nikogo już nie było, tylko przez szpary w okienicach wkradały się pierwsze blaski dnia.

— Bogusiu! — zawołała Bożenka przyciszonym głosem, ażeby babki nie budzić — chodź do mnie prędko; anioł był tutaj i nasypał mi brylantów pod poduszkę.

Boguś zerwał się z posłania,

— Co mówisz, siostrzyczko! gdzieżby nas biedaków darzył brylantami, czyżośmy na to zasłużyli i czyżbyśmy nawet potrafili z takiego daru zrobić użytek, w naszej ubogiej chatce wśród lasu.

— Ale z pewnością, Bogusiu, sama widziałam jak szedł ku mnie i miał ręce pełne brylantów — nie wiem dlaczego teraz nie mogę ich znaleźć chodź, pomóż mi poszukać!

Zaczeli oboje pod poduszką i wszędzie naokoło szukać, ale nadaremnie, klejnotów nie było ani śladu.

— Przyśniło ci się Bożenko — rzekł Boguś — gładząc na pociechę, potarganą główkę dziewczynki.

Bożenka ukryła twarz w dłoniach i zapłakała gorzko, ona tak się cieszyła, że anioł gwiazdki nie zapomniał o niej, że wysłuchał jej gorących modłów,

Boguś chcąc się przekonać, czy dzień już duży, uchylił lekko drzwi i wyszedł przed chatę.

— Bożenko! — zawołał w teże chwili głosem drgającym radością, chodź prędko! tu są brylanty anioła!

Bożenka wybiegła spiesźnie na to wołanie i na progu stanęła jak olśniona: Cały las gorzał tysiącem iskier, wszystkie najdelikatniejsze gałązki drzew zdawały się zginać pod ciężarem drogocennych kamieni przez które promienie słońca przeświecały niby nitki złota. Tam gdzie wczoraj zwisały krople deszczu, dziś błyszczały kosztowne klejnoty, a na ziemi zamiast grząskiego błota, rozpostarła się srebrna koronka szronu, cieniutka jak przedza bajeczna a twarda, jakby wykuta z kamienia.

— Widzisz, siostrzyczko, anioł nie zapomniał o nas — szepnął Boguś wzruszony — ale zesłał nam dar stokroć dla nas cenniejszy od zabawek i pierników, a nawet od prawdziwych szafirów i brylantów. Szczera modlitwa trafi zawsze do nieba, i uprosi modlącym pociechę lepszą nawet od tej, o którą sami śmieli kołatać.

Po zamarznętej, twardej drodze, Boguś natychmiast wybrał się do miasta, a wieczorem dnia następnego zasiadł po dawnemu, we troje przy wigilijnej wieczerzy przed płonącym ogniskiem, szczęśliwi i z całej duszy wdzięczni Bogu za ciepły żar ognia, za chleb, którym się mogli nasycić, za tę ciszę i spójność, które zagościły znowu w ubogiej chatce pod lasem.

Nagoda.

SPEŁNIONE PRYZRZECZENIE.

(Dokończenie).

III.

Mały Abramek, tak jak to było postanowionem, umieszczony został w szpitaliku dziecinnym, a Witold troskliwie go pielęgnował. Codziennie, żwawo pod opieką Marty przebiegał ulicę, spiesząc do swego chorego, niosąc w koszyczku coś z otrzymanych przysmaków, to bułeczkę z konfiturami, to ciastko, to cukierek. Zwykle zastawał tam już doktora, który po obejrzeniu oka, zastanowieniu lekarstwa, polecał Witoldowi staranie, by mały zsuwał zawiązki, lub okładu, nie tarł ręką oczów, nie wygrywał z ciemnego pokoju.

Największą sumiennością mały Abramek wykonywał te porady lekarza. Zawiązywał oko świeżą chustką, przykładając kompresy, przemawiając łagodnie: „Nie zrzuć zawiązki, siedź spokojnie, trzeba koniecznie wodę przynosić, bo inaczej oczko ci się nie zgoi.” A mały kochał swego opiekuna, dotykał się jego ubrania, powtarzając:

— Ładne! i w miarę jak mu było lepiej, stawał się weselszy i śmielszy.

Nieraz nawet drobne wargi dziecka przylegały z jakimś dziwną mocą do ręki Witolda, jakby mu chciało okazać swą wdzięczność, a gdy Witold uśmiewał się i groził, już nigdy nie przyjdzie jeśli to zrobi po raz drugi, przytaczał go za ubranie i płaczliwie prosił aby został!

Serce Witolda wzbierało wdzięcznością do Boga za opiekę powrócenia wzroku małemu, i codziennie prawie powracał ze szpitala szczegółowo opowiadał dziadkowi, co mu mówił, jak go witał, co doktor kazał robić.

Ma stopniowo powracała dawna

Mijając ogród ani razu nie zatrzymał się nawet, by się przypatrzeć wesołym zabawom rówieśników, które o tak dawna były mu wzbronione, a gdy brała go niewypowiedziana ochota chociaż raz podrzucić piłkę, lub chociaż raz przebiec ogród, przyspieszał kroku, by pokusi się uniknąć.

— Później, później — powtarzał sobie w duchu — gdy mały Abramek zupełnie wyzdrowieje, teraz jeszcze nie można, nie wolno.

I biegł wtedy tak szybko, że Marta zdążyć za nim nie mogła, a lekarz zdumionym był jego łagodnością i troskliwością.

A niekiedy pokusy bywały jeszcze silniejsze! Raz zatrzymał go Stasiek, najlepszy jego przyjaciel i namawiał bardzo aby do niego wstąpił na pół godzinki, bo dostał kregle i chciał mu je pokazać. Witold nigdy jeszcze kregli nie widział. Staś tak bardzo prosił, że w sercu chłopca żądza zabawy chwilowo wzięła górę. Ale chwilowo tylko, jedno spojrzenie na koszyczek, w którym niósł potrzebne płótno i kilka jabłuszek dla swego chorego, przypominało mu obowiązek!

— Nie, nie Stasieczku, dziś jeszcze nie mogę, kiedyś indziej przyjdę na pewno!

I uciekł od wołającego za nim Stasia, a raz odszedłszy nie obejrzał się nawet. Ta dobra z gruntu natura szlachetniała z dniem każdym prawie, codziennie niemała do złotej księgi anioł stróż Witolda wpisywał coś, co serce dziadka radowało i obiecywało pociechę w przyszłości. A tymczasem mały Abramek powoli wzrok odzyskiwał, wszelkie obawy zostały usunięte. Pomoc lekarska, gorliwość i sumiennosc wraz z serdecznym staraniem Witolda, zrobiły swoje.. Pozwolono chłopcu wyjść z ciemnego pokoju, mógł nawet biegać. Dnia pewnego, Witold wszedłszy, zastał swego wychowanka podrzucającego coś w górę.

— Co ty robisz? — zapytał rozbawionego chłopca.

— Bawię się w piłkę — odpowiedział.

Ach! to miała być piłka! wszak to stara czapka okrojona sznurkiem! Biedny mały, on pewnie prawdziwej piłki nigdy nie miał!

Nazajutrz Witold przyniósł mu swoją, piękną, dużą czerwono pomalowaną; chłopiec przyciskał ją do ust, chwytając owijał papierami, obejmował kolana Witolda, i wyżej dostać nie mógł.

Witold nie posiadał się z radości dnia tego, doznawał wrażenia jak gdyby mu kto największą rozkosz sprawił.

Kilka tygodni minęło szybko. Dziecko zupełnie wyzdrowiało. Odwiązano mu oko, którym spojrzał na świat tak wesoło jak dawniej i oddano znowu pod opiekę rodziców. Witold szczęśliwy powrócił do trybu życia.

społeczeństwa wśród którego wzrastasz, przez umiłowanie prawdy, przez rzucanie dobrego ziarna wśród młotek, to powinno być pobudką w życiu naszym.

Wyrządzoną krzywdę, przyznaję, umiałeś wynagrodzić, wytrwałeś do końca, lecz czy umiałbyś walczyć za prawdę, a przede wszystkim poświęcić się za innych, gdy okazała się potrzeba. Są to rzeczy trudne, dziecię moje, i tylko przez udoskonalenie się stopiowe w życiu, dojść do nich możemy.

Takie i tym podobne rozmowy dziadek z wnukiem często prowadził, a w sercu dziecka posiew ten obiecywał wydać zdrowe i piękne ziarno. Witold postanowił postępować wedle udzielanych mu rad i przyrzeczenie swe spełnić w dalszym życiu.

Julia Piasecka.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 49, i 51.

Szarady: Lis, las, los.

Łamigłówki sylabowej:

1) Doba. 2) Ifigenia. 3) Orzeł. 4) Marya. 5) Efez. Dania. 7) Elba. 8) Szosa.

Diomedes.

Zagadki: Oplatek.

Do naszych czytelników.



W ten piękny i uroczysty, a tak drogi sercom naszym dzień, gdy:

Anioł pasterski mówił:
Chryście nam się narodził”...

...wiankę serdecznych życzeń od nas.
...związki, oplatkami w do-

Bądźcie szczęśliwi, pamiętając, że szczęścia w samych sobie szukać należy, bo szczęście wynika z zadowolenia wewnętrznego, z poczucia spełnionego obowiązku.

Przyjmijcie, życzenia te, które złączyć pragniemy z życzeniami tych bliskich i drogich wam osób, które przy stole wigilijnym otaczać was będą, jesteście bowiem bardzo bliskimi sercu naszemu, a zadaniem naszym i najmiłą nagrodą za podjęte trudy, byćcie nas za bliskich i serdecznych przyjaciół uważać chcieli.

Skrzynka do listów.

Pani G. w Kiszynie. Za życzenia bardzo dziękujemy, polecenie wypełnimy. Dla Romcia i Jasia serdeczne pozdrowienia przesyłamy, ciesząc się, że ich losy naszych bohaterów powieściowych tak zajmują.

Wisience. Marki pocztowe otrzymaliśmy, radzi jesteśmy, że obrona Częstochowy czytana była z zajęciem.

Zosia K. dobrze rozwiązała łamigłówki. Orlą skalę za opłatą kosztów przesyłki wysłać możemy.

Stefci i Mani L. w imieniu chorych dzieci dziękujemy za zabawki dla szpitalika dzieciennego.

Dobre rozwiązania łamigłówek nadesłali: Laszka, Paluszek, Winia z Łoszkowic, Kotuś L., Zielona Żabka przysłała nadto łamigłówkę własnego układu, Aleksander Sterl... kwadrat magiczy.

Grażynie. Nietylko pismo, ale i styl masz już dość wyrobiony, przy pracy i dobrych chęciach będziesz czyniła ciągle postępy, serdeczną tylko przysyłam ci radę byś się starała zawsze pisać naturalnie, czasami bowiem zbyt staranny styl bywa nieco przesadzony. Żądanego wierszyka przesłać ci nie możemy, bo redakcja nie przechowuje rzeczy, nie nadających się do druku. Co zaś do książek o które zapytujesz: mitologii słowiańskiej oddzielnej niema, jest tylko wspólna wszystkich ludów pogańskich. Najbardziej wyczerpującą geografję dawniej Polski znajdziesz w dziele: *Starożytna Polska* pod względem historycznym, geograficznym i statystycznym, p. Michała Balińskiego i Tymoteusza Lipińskiego. Cenę całego dzieła rs. 5. A teraz co znaczą: *historja naturalna*? Takiej książki ma obejmować wszystkie trzy działy? Takiej opłata wynosi rs. 1 kop 80 bez przesyłki.

Stasiowi z Czerniatyna dodatek powieści przesyłamy, pochwalając porządek w zbieraniu pisemka.

Dziękuję ci Brzózko Wołyńska za te słowa twego listu i ciesząc się, że powieści w Wieczorach czytujesz z zajęciem. Łamigłówkę złożyłam w redakcyi.

Szarotko z Tom. bardzo poważliwie lecz nie zupełnie sprawnie osądziłaś mnie. Odpowiedzi na miłe listy, nie potrzebują z mej strony ani dobroci ani cierpliwości, bo korespondencja z wami, wierząc mi, zaliczam do jednej z największych przyjemności.

Całą zimę spędzam w Warszawie pilnując przykładowo skrzynki do listów, w łecie fruwać sobie w różne strony. Gdyby zazdrość do cna zaliczoną być mogła, tobym ci zazdrościła zdolności muzykalnych, którym niestety poszczycić się nie mogę, muzyk bardzo lubię, ale sama nie grywam.

Dziękuję ci za tę pierwszą odezwę i proszę, abyś na niej poprzestała i zechciała częściej obdarzać mnie tak miłymi listami z mej strony obiecuję zawsze szybką odpowiedź.

Helena Sz. jak na ośmioletnią dziewczynkę pisze bardzo porządnie, z przyjemnością więc listek twój odczytałam i z wdziękiem odbierzesz.

